

Prof. dr M. CZAJA

Z zagadnień hodowlanych

Rozwinięcie hodowli zwierząt w naszym kraju jest sprawą niecierpiącą zwłoki zarówno z punktu widzenia naukowego jak i praktycznego. Podobnie jak w produkcji roślinnej, a może i w większym stopniu w zootechnice, jesteśmy obarczeni olbrzymim balastem przestarzałych, hamujących rozwój teorii i teoryjek oraz wynikających z nich praktycznych zabiegów hodowlanych, które ogromnie przeszkadzają rozwojowi naszej hodowli.

Dążeniem hodowców jest otrzymanie zwierząt wysoce produkcyjnych. Ażeby dojść do takiego pogłowia należy spełnić następujące postulaty:

1. posiadać wyjściowy materiał i stworzyć środowisko, w jakim stałoby się możliwe wyhodowanie takich zwierząt,
2. stosować odpowiednie metody selekcji pozwalające na dochodzenie do coraz wyższych stopni w rozwoju właściwości użytkowych zwierzęcia,
3. kontynuować planowo zabiegi hodowlane przez szereg pokoleń mając na uwadze dziedziczność.

Zastanówmy się, kto mógł według dawnych pojęć dać pozytywną odpowiedź i wynik na powyższe postulaty.

Materiał wyjściowy mógł posiadać teoretycznie każdy, powiedzmy, nawet średnio zamożny chłop, natomiast jeśli chodzi o środowisko, pojęcie to było zastąpione wyrazem „bogactwo”. Hodowcą mógł być tylko bogaty, a więc obszarnik lub bogaty chłop. Ażeby uniknąć niestawiania kropki nad „i” oraz dać odpowiedź na ewentualne pytania w rodzaju: „a Holandia, a Dania, a Anglia — dorzucić należy, że Holandia, to

właśnie środowisko, to kolonie, które płaciły podatki za odciążonego w pewnym stopniu pod tym względem obywatela kraju dysponującego koloniami, to monopol hodowlany wobec zacofanych innych krajów, to zagraniczne, a nie wewnętrzne rynki zbytu, przynoszące olbrzymie dochody. Dania, to z drobnymi odchyleniami to samo, Anglia zaś, to dopiero imperium kolonialne, które opłacało kosztowną, sportowo-wystawową hodowlę zwierząt.

Sugestia stad hodowlanych w tych krajach, sugestia rzekomych dochodów z rzek mleka, ze zwałów boczniaków, pulard, baby beffów narzucała myśl o najłatwiejszej drodze dojścia do podobnego splendoru hodowlanego, tzn. o subplantacji.

Tę myśl o przeszczepieniu żywcem „gotowego” materiału hodowlanego zagranicznego na teren rodzimy gruntowała w ostatnich dziesiątkach lat formalistyczna genetyka podając jako pewnik, że substancja dziedziczna zawarta w chromozomach jest niezmienna i stała. Wystarczyło więc w pojęciu hodowcy - subplantatora postąpić w myśl przepisów książki kucharskiej: „weź jednego buhaja, zmieszaj go z 60 krowami itd”

—a będzie się miało zarodową oborę wysokoprodukcyjną. Dotyczył ten przepis i innych zwierząt i był tak rozpowszechniony i tak powszechnie stosowany, że rozwozić się nad tym nie potrzeba. Okazało się jednak, że przepisy książki kucharskiej nie mogą zastąpić badań i wyników związanych z życiem i życiu służącym.

Sprowadzony w nowe środowisko materiał hodowlany, w środowisko zupełnie odmienne, bez uwzględnienia czynników takich jak ilość i jakość paszy, klimat oraz warunki pielęgnacji, wniósł ze sobą choroby stadne, nie znane materiałowi rodzimemu, zaś na dobitkę kłopotów z pokolenia na pokolenie obniżał swą siłę witalną i produkcyjną. Już ten fakt powinien być zwrócić dostateczną uwagę świata hodowlanego na niestabilność substancji dziedzicznej zawartej rzekomo tylko w jądrze komórki rozrodczej. Niezwracanie uwagi na to, że środowisko ma decydujący wpływ na kształtowanie się właściwości dziedzicznych, stało się przyczyną, że nasza hodowla krajowa musiała podejmować ustawiczne wycieczki „po złote runo” i nie mogła wyjść z ram nieudolności subplantatorskiej. Te ekskursje po materiał hodowlany za granicę dostępne były naturalnie li tylko bogatym, natomiast cała masa pogłowa zwierzęcego wsi, a więc miliony krów, setki tysięcy owiec i innych gatunków zwierząt pozostawione były swojemu losowi i pozostawały na najniższym szczeblu produktywności. Tej niskiej produkcji starano się zapobiec przez stawianie na stacjach zapłodowych osobników samczych (należy koniecznie dodać,

że w procentowo znikomej ilości w stosunku do tzw. dzikich rozplodników), ale — „genetycznie dobrych”. Wydawało się „czynnikom miarodajnym”, że gen zastąpić powinien racjonalne żywienie ilościowe i jakościowe, że gen zastąpi odpowiednie metody wychowu i chowu, gen wprowadzi do hodowli wiedzę i metody racjonalnego użytkowania i że wreszcie gen może zastąpić racjonalną organizację rolnictwa w miejsce indywidualnej partyzantki gospodarczej, uprawianej przez obszarników i bogatych chłopów.

O stworzeniu środowiska hodowlanego dla własnego materiału zwierząt gospodarskich rodzimych, przystosowanych do warunków, nikt poważnie nie myślał, a miarą tego jest chociażby pozostawienie bydła czerwonemu polskiemu rejonów hodowlanych najbardziej pod względem gospodarczym zacofanych i produkcyjnie najuboższych.

W ten sposób zaprzepaszczono wiele cennego materiału rodzimego, zwrócono uwagę jedynie na import i wskutek tego stworzono drobne gniazda „elity hodowlanej” pozostawiając masę pogłowia w warunkach, które nie pozwalały na rozwinięcie nawet miernej wartości użytkowej.

Nie są to jednak jedyne błędy, jakie popełniano przez wiarę w doktryny mendelistycznego ujęcia dziedziczności.

Drugim kardynalnym błędem było scholastyczne podejście do zagadnienia rasy, w wyniku którego dopatrywano się cech rasowych w zewnętrznych nic nie znaczących cechach, nie związanych zupełnie z istotnym kierunkiem produkcji. Adametzowska szkoła wierząca w niezmienny typ brachycerycznej krowy, świni pochodzącej od *susserofa ferus*, czy *sus vitatus* i łącząca cechy użytkowe z wymiarem lub kształtem drobnej kosteczki szkieletu, stała się bezpośrednią przyczyną zagubienia olbrzymiej ilości wartościowego pogłowia zwierząt, a specjalnie bydła, które jako nie „typowe” odrzucano z hodowli. Dostosowywano raczej zwierzęta do nieodpowiednich warunków chowu, szczycono się tym, że bohaterstwo znoszą prymitywizm środowiska, lecz w samym środowisku, w jego odpowiednim zużytkowaniu i przestawieniu, nie szukano dróg do rozwiązania problemu gospodarczo ważnego.

Trzecim z kolei kardynalnym błędem był brak opieki nad masą bydła występującą we wsi, gdzie każdy po swojemu, bez planu i bez przygotowania fachowego formował środowisko i każdy po swojemu eksploatował zwierzęta. Każde najdrobniejsze nawet gospodarstwo stanowiło wydzieloną i zamkniętą całość i traktowanie zwierząt w każdym z nich było oddzielne, a ogólnie rzecz biorąc, pozbawione bazy paszowej, tej podstawowej składowej środowiska.

Kolektywność pracy hodowlanej usiłowały stworzyć zrzeszenia hodowców poszczególnych gatunków zwierząt, w rezultacie jednak, jako związki składające się jedynie z bogatych jednostek gospodarczych, pogłębiały przepaść, jaka istniała pomiędzy nimi i masą chłopską utrzymującą gros pogłowia, a nie mogącą sprostać gospodarczo, a tym samym i społecznie konkurencji kapitału reprezentowanego przez wielkich posiadaczy. Przepaść ta wyraziła się znowu w niskiej i zacofanej produkcji olbrzymiej ilości sztuk zwierząt hodowlanych, przez co zarówno gospodarka narodowa jak i jej część składowa, jaką jest postęp hodowlany, wyrażała się niezwykle niskimi rezultatami.

Jak wynika z powyższej analizy, która bezsprzecznie nie jest pełna, pierwszy postulat, od którego zależy postęp hodowli zwierząt, nie został wypełniony.

Silną rzeczą i drugi postulat, tj. stosowanie metod selekcji, w takich warunkach był utopią. Kontrola użytkowości zwierząt jako sprawdzian ich użytkowej wartości, co można uważać do pewnego stopnia za synonim rasy, mimo że stosowana oparta była na wręcz zawodnych podstawach i wskutek tego nie dawała niemal żadnych pozytywnych rezultatów. Sięgając do przykładów i biorąc za podstawę uprzednie rozważania, możemy sobie przedstawić jak iluzoryczne były wyniki kontroli użytkowości, np. mlecznej u pogłowia krów, nawet u zrzeszonych w Związkach Hodowców, skoro się zważy, że każda niemal sztuka kontrolowana w zasięgu koła kontroli obór posiadała inne warunki żywienia, pielęgnacji, użytkowania, nie mówiąc już o wychowie. Wyciąganie wniosków z tak ujętej kontroli użytkowości doprowadzało niejednokrotnie do błędnych syntez, które w rezultacie nie posuwały pracy naprzód, lecz utrzymywały ją przez długie okresy co najwyżej na jednym poziomie. Były wprawdzie wyjątki od tej reguły, jak np. okresowy rozwój hodowli trzody chlewnej typu bekonowego, lecz te wyjątki zbyt mało albo wcale nie ważyły na szali gospodarki narodowej.

Trzeba sobie wyraźnie i z całym naciskiem powiedzieć, że postulat selekcyjny może być dokonany jedynie i wyłącznie w warunkach zespołowo jednolitej, społecznej organizacji hodowlanej, która oprze się na jednolitym w czasie środowisku i na umiejętności.

Musimy dobrze zdać sobie sprawę z tego, że by móc przeprowadzać selekcję, powinniśmy stworzyć dla grup zwierząt możliwie jednolite w jednostkach czasu warunki środowiskowe i na tym dopiero podłożu wyszukiwać osobniki łącząc je w grupy i z tych grup drogą odpowiedniej metody łączenia wychowu, pielęgnacji i użytkowania wytwarzać rasę.

Wyższość tej zespołowej, kierowanej i planowanej, konsekwentnie wykonywanej pracy hodowlanej jest tak bezprzeczną w porównaniu z indywidualnym i bezplanowym ujmowaniem hodowli, że każdy zdrowo myślący zootechnik da kreskę za tą formą organizacji hodowli. Na tym polega wyższość radzieckiej formy organizacji rolnictwa, a zootechniki w szczególności. Sowchozowa i kolchozowa gospodarka rolna, sieć specjalnych instytutów badawczych, połączone w ścisłej współpracy opartej o planowanie, daje możliwość stworzenia idealnych niemal warunków do pracy selekcyjnej. Nie trzeba udowadniać, że takie warunki stwarzają możliwości wyrównanego żywienia, jednolitych metod pielęgnacji, możliwości realistycznego porównywania międzyosobniczego i międzygrupowego, zaś z naukowego punktu widzenia stwarzają warsztat pracy, umożliwiający całkowite rozwiązywanie problemów, bez konieczności uciekania się do spekulatywnych metod dedukcji statystycznej.

Warunki takie stwarzają ponadto możliwości przeprowadzania badań na tych rodzajach zwierząt, w stosunku do których badania takie mają dać odpowiedź. Nie można bowiem twierdzić, że to, co zaobserwowało się na materiale szczurów, myszy czy świnek morskich, musi się dokładnie stosować do przeżuwaczy, które, jak wiadomo, pod względem anatomicznym, fizjologicznym a zatem i biologicznym są czymś wręcz różnym od myszy czy muchy.

Zrozumiałe jest, że badacze postawieni przez ustrój społeczny w tym położeniu, że nigdy nie mogli sobie pozwolić na ilościowo bogaty materiał, np. krów, nie mogli stworzyć tym zwierzętom równych warunków, jakich wymaga każde badanie, skazani byli na indywidualne „widzi mi się” tego lub owego właściciela zwierząt, który zależnie od humoru poddawał się lub nie wskazaniom i uniżonym prośbom naukowca, uciekali do „zaczisy laboratoriów” i stąd wysyłali recepty selekcyjne dla przykładowo wziętych krów, opracowane na... muchach.

Nie chcę być źle rozumiany, więc zastrzegam się, że doceniam w pełni badania ściśle laboratoryjne na wszelkim możliwym materiale, które bezwzględnie i dla praktycznej zootechniki są konieczne, dają bowiem ważne wskaźniki i metodyczne i sygnały praktyczne, ale jako zootechnik muszę stwierdzić, że jednak mucha to całkiem coś innego niż krowa i to, co doskonale stosuje się do muchy, u krowy wygląda całkiem inaczej. Laboratorium biologiczne dotyczące krów musi się zaczynać w oborze a kończyć w kolbie laboratoryjnej. Może być czasem i odwrotnie, ale w każdym razie i w tym wypadku musi się skończyć na krowie a nie na musze.

Ażeby teza ta mogła znaleźć życiową realizację, by badacz miał możliwość poświęcenia się pracy naukowej i w oborze, a równocześnie dopełnić swe badania w laboratorium, obora i laboratorium, jako krańcowe ogniw łańcucha czynności związanych z badaniem, muszą organicznie być ze sobą jak najściślej związane w jeden nierozzerwalny system.

Sprawne działanie każdego systemu zależy od sprawnego działania poszczególnych jego części składowych. W laboratorium, od sprzętu począwszy, poprzez aparaturę i pomoce naukowe aż do personelu laboratoryjnego i naukowego sięgając, wszystko winno być tak zorganizowane, by wszyscy biorący udział w pracy rozumieli jej cel. O ile w dawnym porządku społecznym taka organizacja w zakresie pracy laboratoryjnej w ścisłym tego słowa znaczeniu czasem mogła mieć miejsce, o tyle gdy wchodziła w grę praktyczna część laboratorium, jaką w naszym przykładzie stanowi obora, te wszystkie warunki kończyły się na jej progu. Nie tylko bowiem personel robotniczy, lecz również i techniczny stojący wówczas na, jak się to zwało, „niższym szczeblu zrozumienia” nie pojmował w żadnej mierze celów i zagadnień związanych nawet z produkcją, nie mówiąc o planowej pracy selekcyjnej czy badawczej. Był on wręcz tendencyjnie odsuwany nie tylko od zagadnienia, ale i od tych, którzy to zagadnienie rozpracowywali. Gdyby w owym czasie robotnikowi względnie pracownikowi technicznemu wolno było przeczytać naukowe sprawozdania z doświadczeń przenoszonych z laboratoriów na zwierzęta, którymi się opiekowali, w większości wypadków uśmiechnęliby się ironicznie na wspomnienie tego co zalecano, a co zostało przez nich istotnie wykonane. Nie mówię tutaj naturalnie o nielicznych wypadkach, kiedy było inaczej, kiedy robotnik był uświadomiony odnośnie celów i metod pracy, a o tych wypadkach, kiedy on tworzył te metody, a kto inny je wykorzystywał przekładając je w piśmie na język literacki, nie zawsze dla niego zrozumiały.

Trzeci przeto postulat, od którego wypełnienia zależy postęp prac zootechnicznych praktycznych, wiodących do podniesienia użyteczności zwierząt gospodarskich w całym tego słowa znaczeniu, jak i zootechniki naukowej, powinien być rozpracowywany na zasadach *pełnego wciągnięcia w orbitę tych zagadnień wszystkich pracowników, od robotnika począwszy, a skończywszy na naukowym kierowniku*. Nie można sobie wyobrazić prac selekcyjnych w dziedzinie zootechniki, gdy na terenowym odcinku, tzw. oddolnym, wykonywać je będzie człowiek nieświadomy odnośnie celu i metod pracy, do tego celu prowadzących.

Sytuacja w polskiej zootechnice doby obecnej nie może być uważana nie tylko za ideał, lecz co najwyżej za początek drogi wiodącej do tego

ideału. Składają się na to w pierwszym rzędzie te czynniki, które zostały omówione, a które wloką się jeszcze przez nasze praktyczne i teoretyczne prace i które utrudniają wprowadzenie rzeczy nowych, stare zaś nie mogą znaleźć siłą rzeczy zastosowania.

Dawne związki hodowców, późniejsze związki branżowe przestały istnieć. Obecnie tworzą się na ich miejsce grupy produkcyjne. Jednak w terenie panuje ogólne pomieszanie pojęć, zwłaszcza jeśli chodzi o zakres działania i plan pracy grup produkcyjnych w zootechnice. Jedne z nich biorą na siebie zadania związane z akcją pomnożenia ilości zwierząt gospodarskich, racjonalizacją chowu i eksploatacją chowu użytkowego. Jest to jedyne zdrowe podejście do problemów, jakie powinny być podejmowane przez tego rodzaju zespoły (akcja H) jako przejściowa forma ogólnej przyszłej organizacji rolnictwa. Inne jednakowoż, bez posiadania warunków w tym kierunku, bez uwzględnienia rozwiązania zagadnień środowiskowych i paszowych, rzucają się na wymagające dużej znajomości i doświadczenia problemy hodowlane nie posiadając warunków na ich rozwiązanie. Nie jest sztuką założyć konkurs wychowu jałówek czy byczków, nie sztuka założyć grupę producentów „rasowych” krów czy trzody chlewnej, ale cała sztuka polega na tym, by zapewnić tym zwierzętom środowisko dla nich odpowiednie, otoczyć te zwierzęta stałą opieką, stworzyć bazę paszową, a równocześnie kształcić i jeszcze raz kształcić pod względem społecznym i fachowym ludzi, którzy tej pracy się podjęli.

Widziałem tyle zmarnowanego cennego materiału hodowlanego zwierząt „konkursowych”, zaniedbanych później i pozostawionych samych sobie, które żadnego nie przyniosły pożytku gospodarce narodowej i niczym nie przyczyniły się do postępu hodowlanego, że gdy dzisiaj słyszę np. o konkursie wychowu cieląt, wzdragam się przed w 90% przewidywanym rezultatem tego „wyczynu”.

O ile współzawodnictwo zdrowo pojęte, trwale i konsekwentnie przeprowadzane i dotyczące właściwych celów należy uznać za niezmiernie pozytywny czynnik postępu, o tyle wszelka akcja dorywcza nie powiązana w organiczną całość, powinna być uznana za wręcz chybiającą celu, a nawet demoralizującą. Cóż bowiem przyjdzie komuś z imprezy, która zapoczątkowuje jedynie, a nie kończy rozwiązania problemu.

Podobnie ma się rzecz z kontrolą użytkowości zwierząt.

Przystępując do rozważań na ten temat, poprzedzę je słowami wypowiedzianymi przez Łysenkę w referacie wygłoszonym na Sesji Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych im. W. I. Lenina, dnia 5. V. 1949 r. Łysenko omawiając podstawy ulepszenia pogłowia zwierząt,

a specjalnie bydła, powiedział odnośnie roli żywienia: „W przeciwnym bowiem wypadku przy niedostatecznym żywieniu, utrzymaniu i pielęgnacji, nie tylko drogą krzyżowania nie da się ulepszyć ras mało produkcyjnych, lecz nawet zwierzęta ras wysokoprodukcyjnych szybko, bo w ciągu 2—3 pokoleń w znacznym stopniu zatracą swoje zalety nie mówiąc już o *wydajności* (podkreślenie moje), która w złych warunkach zostanie od razu silnie obniżona”. I dalej: „Bez zapewnienia wysokich plonów roślin pastewnych, zwłaszcza pasz soczystych, w wielu rejonach trudno poważnie mówić o istotnym zwiększeniu produkcji mleka”.

Ze zdań tych wynika jasno, że pierwszym czynnikiem warunkującym postęp hodowli i postęp produkcji hodowanych zwierząt, jest stworzenie odpowiedniej ilościowo i jakościowo bazy paszowej.

Kontrolę użytkowości powinno się przeto prowadzić tylko i wyłącznie tam, gdzie żywienie i baza paszowa są odpowiednie, a szkoda w ogóle ją prowadzić w wypadkach, gdy żywienie jest niedostateczne, gdzie wychów zwierząt jest zły, gdzie metody pielęgnacji nie zapewniają zwierzętom rozwinięcia ich właściwości użytkowych i gospodarczo uzasadnionych.

Gdzie istnieją u nas takie warunki, w których można by było prowadzić kontrolę użytkowości.

Musimy sobie odpowiedzieć otwarcie i bez ogródek na pytanie, że jeśli istnieją to w niezwykle małej ilości naszych warsztatów rolnych, od chłopskich począwszy, przez PGR, a niestety kończąc nawet na zakładach doświadczalnych, musimy sobie powiedzieć, że pod tym względem jest całkiem źle, jeśli nie chce się użyć silniejszych słów. Bo jeśli istnieją zakłady zootechniczne, które żywią swoje zwierzęta fatalnie i marnują niejednokrotnie bardzo cenny materiał hodowlany, to cóż mówić o innych warsztatach rolniczych, których celem nie jest specjalnie prowadzenie racjonalnej zootechniki. Czyż w takich warunkach kontrola użytkowości zwierząt daje coś pozytywnego poza olbrzymimi wydatkami?

Moim zdaniem, a mam wrażenie, że to zdanie podzieli większość zootechników, *kontrola użytkowości zwierząt powinna we wszystkich wypadkach, gdzie ma się ją zamiar wprowadzać, być poprzedzona kontrolą wydajności pasz, kontrolą bazy paszowej i kontrolą środowiska.*

Dopiero w wypadku, gdy te dane świadczą o zagwarantowaniu zwierzętom odpowiednich warunków, można przystąpić do kontrolowania

ich zdolności witalnej i produkcyjnej, w przeciwnym wypadku kontrola użytkowości jest stratą czasu, funduszków — absurdem.

W niedługim czasie ukaże się praca wykonana w Zootechnicznym Zakładzie Doświadczalnym w Grodźcu, dotycząca wyników kontroli użytkowości bydła czerwonego polskiego w wiadomych warunkach środowiskowych, z której wynika niedwuznacznie, że kontrola użytkowości zwierząt (krów), nie uwzględniająca warunków żywienia i pielęgnacji, prowadzi do niepowetowanych szkód w pracach zmierzających do podniesienia produktywności i w pracach selekcyjnych. Tutaj wspomnę jedynie, że w świetle tej pracy materiał rodowodowy, posiadający „tasiemcową” tablicę przodków, ani pod względem typu, ani pod względem produktywności nie różni się w większości wypadków od wyjściowego materiału bezrodowodowego.

Kontrola użytkowości powinna być sprawdzianem nie tylko wydajności, lecz sumy warunków hodowlanych i na tym tle rozwijającej się produkcji. W naszej teraźniejszości powinna objąć te tylko fermy PGR, te fermy hodowlane gospodarstw spółdzielczych, których baza paszowa i warunki środowiska stworzone przez hodowców gwarantują postęp hodowlany.

Tam, gdzie nie ma tych warunków, należy prowadzić uprzednio kontrolę wydajności użytków zielonych, produkcji pasz i kontrolę żywienia i na te sprawy położyć nacisk wszędzie, od drobnego gospodarstwa chłopskiego począwszy, a kończąc na największych obszarowo obiektach PGR. Nie wolno w tych wypadkach sugerować się wysoką wydajnością upraw polowych w gospodarstwach bezpośrednio konsumpcyjnych. *Gospodarstwo, które nie produkuje wysokiej ilości pasz, takich jak siana, pasze soczyste, nie posiada odpowiedniej kultury pastwisk, powinno być piętnowane, chociażby produkowało rekordowe ilości zboża, rzepaku czy innych roślin charakteru bezpośredniej konsumpcji.*

W każdym gospodarstwie rolnym są zwierzęta gospodarskie i te powinny produkować jakościowo i ilościowo dużo, być zdrowe i płodne, w naszych bowiem warunkach nie może istnieć obawa nadprodukcji.

Konsekwencją tych rozważań jest problem odpowiedniej organizacji hodowli.

Problem ten nie jest bynajmniej łatwy do rozwiązania. Miarą tego są chociażby tezy referatu Łysenki uprzednio cytowanego. Łysenko tak ujmuje zasady organizacji hodowli: „Cel wytyczny dla różnych ferm jest

rozmaity. A więc fermy *użytkowe* (podkreślenia moje) powinny dostarczać jak najwięcej produktów zwierzęcych tanich i najlepszej jakości. Państwowe stacje kopulacyjne i *kołchozowe hodowle zarodowe* powinny dostarczać pierwszorzędných zwierząt — reproduktorów *danej rasy*. *Hodowle zarodowe sowchozów* oraz *hodowle instytucyj naukowo-doswiadczalnych*, niezależnie od uszlachetniania istniejących już ras, *muszą hodować zupełnie nowe rasy* zwierząt gospodarskich. Z tego względu całą pracę hodowlaną należy podzielić w zależności od zadań ferm hodowlanych co najmniej na trzy kategorie planowo powiązane ze sobą".

Łysenko rozróżnia wysnuwając wnioski z tez wyżej podanych:

1. Fermi sowchozowe i kołchozowe użytkowe, gdzie bez względu na rasę i bez specjalnych celów hodowlanych w ścisłym tego słowa znaczeniu pracuje się nad podniesieniem użytkowości zwierząt. W naszych warunkach odpowiednikiem tej grupy byłyby: a) gospodarstwa PGR nastawione na produkcję, a nie na specjalne zadania hodowlane, b) spółdzielnie produkcyjne każdego typu z wyjątkiem takich, które mają specjalne zadania produkcji materiału zarodowego, c) grupy produkcyjne Związku Samopomocy Chłopskiej.

2. Państwowe stacje kopulacyjne, kołchozowe i sowchozowe hodowle zarodowe udoskonalają *rasy czyste*. Starają się one o wyprodukowanie wysokowartościowego materiału rozplodowego. W naszych warunkach byłyby to fermi zwierząt zarodowych, prowadzone w specjalnie wybranych w tym celu gospodarstwach PGR i spółdzielniach produkcyjnych, posiadających nie tylko odpowiedni materiał zwierząt, ale przede wszystkim odpowiednie warunki chowu i wychowu zwierząt,

3. Fermi instytucyj badawczych i naukowych jak i niektórych sowchozów włączonych w tę pracę uszlachetniają istniejące rasy i tworzą nowe, jedne i drugie o wysokiej wartości hodowlanej. W naszej rzeczywistości byłyby to obiekty Instytutu Badawczego w dziedzinie zootechniki i sprzężone z nim w ścisłej współpracy *wybrane* fermi hodowlane PGR, które te zadania na siebie przyjąłby.

Tezy wysunięte przez Łysenkę zestawilem bezpośrednio z naszymi pod tym względem możliwościami.

Powinniśmy *od zaraz* przygotować taką formę organizacji naszej hodowli, która by zadaniom podniesienia jej na wysoki poziom sprostała.

Schemat jej, z mego punktu widzenia w oparciu o wzór radziecki, powinien wyglądać następująco:

Zadanie główne: obsługa naukowa				
GRUPA I	Obsługiwana w mat. rozplod. przez Gr. II i III	GRUPA II	Obsługiwana przez Gr. III w mat. rozplod. wymienianjąca takowy z Gr. III	GRUPA III
Produkcja kierowana		Produkcja kierowana i hodowla zarodowa		Udział w produkcji kierowanej i specjalne zadania w hodowli zarodowej; tworzenie nowych ras
1) P.G.R. fermy zwierząt użytkowych i reprodukcyjne	1) P.G.R. fermy hodowli zarodowej	1) Instytut Badawczy		
2) Spółdzielnie produkcyjne	2) Spółdzielnie produkcyjne fermy hodowli zarodowych	2) P.G.R. fermy specjalne związane ściśle w pracy z Instytutem		
3) Grupy produkcyjne ZSch	3) Państwowe stacje kopulacyjne	3) Spółdz. prod. fermy specjalne w ramach prac Inst. Bad.		
		4) Zakłady hodowli		

Z przedstawionego schematu wynika (abstrahując od form administracyjnych, które muszą być przystosowane do planistyki, jaką operuje gospodarka narodowa) jasny podział ról poszczególnych składowych systemu akcji zootechnicznej.

Jest samo przez się zrozumiałe, że przesunięcia w poszczególnych pionowych segmentach grup w kierunku poziomym powinny być w każdym wypadku brane pod uwagę. Nie można tego układu traktować kostycznie, albowiem i człowiek, i czas, i przestrzeń mogą zmieniać charakter segmentów tak, że ich lokata wykazywać powinna przesunięcia in plus w hierarchii ról, jaką spełniają.

Zastanawiając się nad problemem wykonania planu zootechnicznego z jego szczegółowej strony, podnieść należy na wstępie kwestię rejonizacji produkcji hodowlanej uwzględniającej charakter środowiska.

Polska nie stanowi tak zróżnicowanego terenu pod względem geologicznym, klimatycznym i glebowym jak Republiki Związku

Radzieckiego. Niemniej i w naszym kraju istnieją strefy wyraźne i różniące się między sobą pod względem tych czynników.

Pierwsza z nich, o zupełnie zdecydowanym i swoistym charakterze, to kraina górska i jej najbliższe sąsiedztwo. Jest to teren predystynowany dla gopodarki hodowlano-pastwiskowej, gdzie zwierzę stanowić powinno bazę dla gospodarki rolnej i bazę dla produkcji.

Druga strefa, która z punktu widzenia środowiska zootechnicznego daje się wyraźnie wydzielić w stosunku do innych, to doliny rzeczne, przylegające do nich połacie ziemi, pojezierza oraz depresje, które w związku z możliwościami kultywowania bardzo wydajnych upraw łąkowo-pastwiskowych specjalnie nadają się na hodowlę zwierząt wysokoprodukcyjnych.

Trzecia strefa, to ziemie tzw. pszenno-buraczane, a więc urodzajne gliny, rędziny, lessy i czarnoziemy, stanowiące bazę dla produkcji roślinnej w zrozumieniu korzystnych warunków przyrodniczych. W strefie tej, zwłaszcza w wypadkach gdy ilość opadów jest niedostateczna, powinien być prowadzony wiliamsowski system gospodarki rolnej, gwarantujący stworzenie odpowiedniej bazy dla zwierząt hodowlanych. Rejon ten powinien być terenem intensywnej hodowli użytkowej w oparciu o uprzemysłowione gospodarstwa rolne i powinien nosić ten charakter, zwłaszcza w rejonie przemysłowych ośrodków jako ich baza zaopatrzeniowa.

Czwarta wreszcie strefa, to ziemie piaszczyste, o niewielkiej (700 mm) ilości opadów, ubogie tym samym w pastwiska naturalne i użytki zielone. Ziemie te powinny stanowić rejon produkcji użytkowej, opartej na zużywaniu odpadków przemysłowych, okopowych skrobiowych, zielonkach specjalnych gatunków, których uprawa włączona być powinna do płodozmianu (seradela, łubiny itp.). Są one siłą rzeczy skazane na system chowu półalkierzowego, a zatem na kierunek produkcji opasów zwierząt wyrośniętych.

W myśl zasad agrobiologii, w każdym z wymienionych rejonów, które stanowią specyficzne środowisko, powinny być hodowane zwierzęta domowe dostosowane do tego środowiska.

Wchodzimy w myśl tego założenia w problem wyboru odpowiedniego typu zwierząt najodpowiedniejszych dla danych warunków.

Rozważając tę kwestię, należy w pierwszym rzędzie zacząć od najczulszego punktu tego zagadnienia, a mianowicie, na czym powinno się opierać hodowlę czy na importach, czy na własnym materiale.

Wyraźnych wskazań w tym kierunku dostarczają nam przykłady radzieckiej zootechniki naukowej i praktycznej, przykłady z literatury

fachowej innych krajów. Nasze własne doświadczenia dostarczają nam również dowodów, że jedynie celową drogą, prowadzącą do stworzenia zdrowych i silnych podstaw rozwoju naszej krajowej hodowli, jest oparcie się na własnym materiale zwierząt, przystosowanym do naszych warunków środowiskowych.

Nie wyklucza to bynajmniej użycia zwierząt hodowlanych importowanych jako bodźca do aktywizacji siły dziedzicznej organizmów zwierzęcych. Nie wyklucza to użycia rozplodników importowanych przy tworzeniu nowych ras, bardziej niż stare, przystosowanych do warunków zewnętrznych i bardziej produkcyjnych niż rasy stare.

Niemniej nie ulega wątpliwości, że wyłączne oparcie się na importach, jak do tego dążyła przedwojenna „myśl hodowlana”, jest drogą błędną, prowadzącą do wręcz szkodliwych rezultatów.

Powinniśmy sobie zdać sprawę z tego, że celem naszym jest posiadanie zwierząt konstytucyjnie silnych, dobrze wrośniętych w warunki, zdrowych, płodnych i produkcyjnych. Zwierzęta o tych właściwościach posiadamy w rodzimym materiale, który wykazuje w porównaniu z zachodnimi rasami udoskonalonymi niższą produkcyjność tylko dlatego, że nie stworzono dlań warunków sprzyjających wysokiej produkcji. Złożył się na to ustrój kapitalistyczny, a co za tym idzie, układ warunków społecznych, fałszywie ujmowane pojęcia dziedziczności, wykluczające jakikolwiek wpływ świata zewnętrznego na rzekomo „wieczystą, niezmienną substancję dziedziczną”.

Jednakowe wychowanie materiału zwierzęcego w kierunku wysokiej produkcji jest przecież kwestią stworzenia mu odpowiedniego środowiska. Jest to droga o wiele łatwiejsza niż nadanie materiałowi, nie dostosowanemu do warunków, odporności, płodności i siły konstytucyjnej, zwłaszcza jeśli chodzi o materiał, który przez długie lata przywykł do innego środowiska. Naginanie pogłowia zwierząt w trakcie narastających pokoleń odpowiednimi metodami chowu i *przy użyciu kojarzeń międzytypowych w oparciu o materiał rodzimy prowadzi szybciej do celu, niż ustawiczne subplantacje.*

Podstawowe, a tak cenne właściwości umożliwiające postęp hodowlany w każdym kierunku znaleźć możemy jedynie w materiale, który wyrósł i wrósł w środowisko.

Nowa radziecka „iwanowska” rasa trzody chlewnej, bijąca właściwościami świnie wielką białą angielską, wyrosła właśnie na podłożu takich walorów świni ukraińskiej. To samo da się powiedzieć o nowosybirskiej rasie świń, to samo o kostromskiej rasie bydła, o kaukaskim merynosie czy też o terskim koniu.

Powinniśmy przeto zwrócić uwagę w naszych pracach nad postępowaniem hodowli głównie na krajowe odmiany zwierząt, zwierzęta te odpowiednio pielęgnować i na ich podłożu, wykorzystując zdrowotność, siłę witalną, płodność itp. właściwości organizmu, tworzyć rasy wysokoprodukcyjne.

Powinniśmy dalej umiejętnie wykorzystywać metody krzyżowania i selekcji tak, by tych najistotniejszych walorów zwierząt rodzimych nie zatracić, lecz je utrzymać, a nawet podnieść.

Należy odrzucić fałszywe metody doboru na parcjalne i nic nie znaczące cechy, odrzucić metody chowu wypierającego, a zwłaszcza wówczas, gdy materiał, mający odegrać rolę uszlachetniającą, nie jest sprawdzony pod względem *sumy witalnych sił ustroju*.

Rasy stojące na wysokim stopniu użytkowości powinny być „wychowywane” w sensie przystosowania ich do środowiska i wtedy tylko, gdy odpowiedzą pozytywnie na selekcyjne zabiegi w tym kierunku zdążające, powinny być utrzymywane w czystości w celu stworzenia źródła dla stad użytkowych.

Należy zwrócić uwagę jeszcze na jedną sprawę, a mianowicie na to, że powinna istnieć u nas większa różnorodność typów rasowych wśród naszych zwierząt, by móc je używać do celowych łączeń międzytypowych, dających niejednokrotnie zwiększone korzyści produkcyjne.

Nie mam tutaj na myśli tworzenia „ogrodu zoologicznego” ras, tak jak to przed wojną zrobiono w owczarstwie, kiedy prawie każdy powiat chciał mieć swoją rasę, która w sumie składała się zaledwie z kilkuset osobników.

Mam na myśli typy zwierząt w ramach tej samej odmiany, typy, jakbym je nazwał — środowiskowe:

Wezmę za przykład bydło czerwone polskie. Wiadome jest, że bydło to ma odmienny wyraz typu użytkowego w okolicach podgórze małopolskiego w porównaniu z typem bydła okolic Wysokiego Mazowieckiego. Biały typ tego bydła stanowi znowu przejście do typu hodowanego na Śląsku względnie w okolicach Lublińca, a który ma odmienny wyraz typu niż poprzednio omówiony. *Nie należy nie tylko niszczyć swoistego wyrazu typu wariantów tej samej rasy, jaki nadało im środowisko, lecz przez umiejętne kojarzenie, oparte na studiach, próbach i z nich wynikającej metodyki, dążyć do kumulacji wybranych a wartościowych właściwości.*

To samo da się powiedzieć o bydle nizinnym, w ramach którego istnieją również pewne typy, różniące się między sobą i ogólnymi i specjalnymi właściwościami. Wymienię choćby stary typ bydła poznańskiego, typ

pomorski, typ małopolski, a wreszcie nowy typ tego bydła, formowany przez życie z krzyżówek miejscowego materiału z materiałem szwedzkim.

W świni zwislouchej krajowej da się wyróżnić dwa zasadnicze typy. Typ śląski (Cieszyńskie) zbudowany przy pomocy starego westfala, o ogromnym tempie wzrostu i wczesności mięsnej oraz wyrostowy, ale późno — mięsny typ świni zwislouchej, cechujący się dużą zdolnością przystosowania się do trudnych warunków środowiska. Obydwa te typy wymagają zajęcia się nimi na serio i nie wykluczają się wzajemnie.

Jeśli chodzi o owce, zgodzić się należy z poglądem, że kierunki produkcji owczarskiej powinny być reprezentowane przez trzy typy produkcyjne, a to: w okolicach górskich i podgórskich przez owcę wełnistomleczną, w gospodarstwach położonych na ziemiach bogatych, przez owcę mięsno-wełnistą, zaś w okolicach uboższych glebowo i w okolicach o mniej sprzyjających ogólnych warunkach gospodarczych i klimatycznych, przez typ długowełnisty, o ubocznym niejako i wtórnym kierunku mięsnym.

Do wytworzenia tego rodzaju typów użyte muszą być nota bene rasy szlachetne w rozumieniu ich właściwości produkcyjnych i to nie jedna jakaś rasa, ale dwie lub trzy. Nie można jednak używać w tym celu zbyt dużej plejady ras, wprowadziłoby to bowiem chaos w uzyskiwaniu jednolitego surowca, z czym musimy się liczyć z uwagi na zapotrzebowanie przemysłu włókienniczego i innych.

Pracami tymi — nie trzeba udowadniać — winna kierować nauka w ten sposób powiązana z praktyką, by z jednej strony naukowiec mógł znaleźć sprawdzian swych prac w praktyce, a praktyk miał oparcie w nauce, w wyjaśnianiu faktów i założeń, z jakimi spotyka się w życiu.

W oparciu o tak pojętą naukę, w oparciu o zdobycze agrobiologii, w oparciu o nasze intuicyjne dawniejsze i obecne doświadczenia potwierdzające w całej rozciągłości tezy, jakich dostarczyła agrobiologia, możemy śmiało patrzeć w przyszłość naszej zootechniki, która wstąpiła na drogę szybkiego rozwoju.